

O potrzebie rozwagi i umiarkowania

Do wypowiedzi tej skłonił mnie Adam Kubiak („Ekologia zaufania dla radykalnych”, DŻ nr 6/2008), zaniepokojony nadmierną polaryzacją postaw niektórych „ekologów” i „chrześcijan”. Podzielał te obawy, ale zaczęłam od uzupełnienia jego rozważań, wskazując, że poza radykalnymi społeczno-politycznymi „eko-izmami” stać powinna dążąca do empirycznego sprawdzania wyników nauka (właściwa ekologia). Nauka ta nie tworzy dogmatów, co najwyżej okresowo panujące uogólnienia (paradygmaty), które prędzej czy później zostają poddane krytyce, modyfikacji lub odrzuceniu. W świetle tak obiektywizowanej doświadczeniem wiedzy ekologicznej nie jesteśmy aż tak bezbronni w ocenianiu stanów przyrody, jak by się to na pierwszy rzut oka wydawało. Istnieją dość dobrze już ustalone sposoby definiowania prawidłowości rządzących przyrodą i nie jesteśmy tu zdani na mgliste przypuszczenia. Przekonująco uzasadnił to w książce „To jest biologia” (2002) niedawno zmarły wybitny ewolucjonista E. Mayr.



Fot. Natalia Mączyńska

Źródłem nieporozumień i prawdziwą trudnością jest to, że w trakcie popularyzowania interpretacja naukowa nieraz ulega uproszczeniu, czasem trywializacji, gdyż język potoczny nie dość dokładnie oddaje istotę skomplikowanych zjawisk przyrodniczych. Dlatego może się wydawać, przykładowo, że pomiędzy stanami względnej równowagi ekosystemu a występowaniem w nim lokalnie zaburzeń stanu (punktowych mini-katastrof podnoszących poziom lokalnej różnorodności biologicznej) istniała jakoby sprzeczność. W istocie są to jednak zjawiska z dwóch poziomów organizacji, mogące współwystępować bezkonfliktowo i być prawdziwie pożytecznymi równocześnie.

Co ważniejsze, i ja podzielałam główną obawę Autora w odniesieniu do widocznej wokół nas prostackiej polaryzacji postaw, zwłaszcza ostatnio w Polsce. Ogromny ładunek emocji i agresji, jaki nieustannie widać w krajowych sporach, jest skutkiem albo upraszczania poglądów dla potrzeb „hien medialnych”, albo w celu usilnego „nawracania” na swoją jedynie słuszną wiarę. Przy braku świadomości tego, że druga strona może mieć odmienne zdanie, nie mając jednak prawa go narzucać ani metodą nacisku administracyjnego, ani usilnej indoktrynacji stosowanej np. wobec bezbronnych dzieci przedszkolnych i szkolnych, poddawanych wdrukowaniu światopoglądu religijnego (R. Dawkins, „Bóg urojony”, 2006).

W naszym kraju napięcie jest celowo podsycane przez media, chcące ze wszystkiego zrobić sensację lub prymitywny spektakl walki. Walki o byle co, między byle kim, byle jak. Pod wpływem tej podjudzającej taktyki oraz swoistej mody na agresywność, coraz więcej publicznych wypowiedzi nabiera cech albo rewolucyjnego radykalizmu lewicowego albo, co dziś częstsze, ekstremizmu konserwatywnego. Takie wyostrzenie stanowisk zwiększa bowiem wyrazistość codziennego spektaklu brutalności, jakim stała się wojująca i zarazem oglupiająca, a nie informująca ani nie edukująca, telewizja publiczna.

Jest to trend zabójczy dla normalnego życia społecznego, gdyż uniemożliwia zawarcie jakiegokolwiek ugody, wypracowywanie kompromisów, a zwłaszcza jeszcze później – uniemożliwia wspólne realizowanie nawet najlepszych ustaleń, niezbędnych dla wytworzenia jakiegokolwiek dobra wspólnego. Poziom wzajemnej agresji w języku (Tomiałojć 2008, w: „Obywatel”, nr 6/2007), którym wydzierają się na siebie dwie ultrakatolickie partie, jest wręcz groteskowy. Ten nieustanny spektakl nienawiści bliźniego mamy w wykonaniu m.in. wyznawców religii głoszącej, że jest religią pokoju, wybaczenia i miłości bliźniego!

Agresja jest już powszechna nie tylko w środowiskach zdeprawowanych, na stadionach i w polityce, lecz niemal wszędzie. Słysząc ją w codziennym języku, a widząc doskonale nawet w zachowaniu się nastolatek-chołpczyk, mordujących się lub bijących się jak chłopcy, pijących piwo i spluwających jak chłopcy, i tak samo jak oni wulgarnych i niechlujnie ubranych (obowiązkowo w „kultowy” strój amerykańskich pastuchów, dobry na wyprawie w teren, ale nie w rozpalonym letnim słońcem śródmieściu).

Agresja bywa też wyładowywana na przedmiotach martwych. Niewiele jest krajów, w których bezsensowna (nie przynosząca korzyści nawet niszczycielowi) dewastacja wszystkiego dokoła dorównywałaby nasileniu naszej polskiej. Gdzie indziej też bywa brudno, nawet brudniej, ale takiego zamierzonego wandalizmu, takiego zapamiętania w niszczeniu wspólnego dobra, nie przypominam sobie bym widział gdziekolwiek, przebywając w ok. 40 krajach.

U nas nikt też nikomu nie ustąpi. Zapomniano o starym pouczeniu, że w sprawach pomniejszej wagi mądrzejszy ustępuje głupiemu. Choć to nie kto inny, jak właśnie polski filozof, Leszek Kołakowski, napisał traktat o pochwalę niekonsekwencji. Argumentował w nim, że bardzo konsekwentni ludzie dawno by się pierwiej pozabijali, niż cokolwiek wspólnego uzgodnili. Dlatego to w społeczeństwach pomyślnie się rozwijających ludzie ze sobą częściej współpracują niż walczą, podczas gdy u nas tak w kraju, jak i wśród polskiej emigracji, od Australii po Kalifornię, jest wyraźnie odwrotnie. Czyżby to była nasza cecha uwarunkowana genetycznie?

Tymczasem jako obywatele jednego kraju mamy przede wszystkim **nadrzędny obowiązek współdziałania** ponad podziałami. W celu wzmacniania, a nie rozbijania naszej wspólnoty społecznej i państwowej. Dopiero na drugim miejscu winno się znaleźć rywalizowanie o indywidualne racje i pozycje w hierarchii. Nie odwrotnie, bo wtedy społeczeństwo będzie się rozpadało (atomizowało), a państwo słabło, zamiast się rozwijać. Czy to takie trudne, by pojąć, że na tej samej ziemi nawet za 20 i 50 lat będą nadal obok siebie mieszkali i wierzący i niewierzący, i lewicowcy, i prawicowcy, i etniczni Polacy, i obywatele polscy innego pochodzenia, i heteroseksualiści, i homoseksualiści, i blondyni, i bruneci, itd. Jako wolni obywatele, wszyscy mamy równe prawa, ale też i ten sam obowiązek okazywania wzajemnego szacunku oraz rozwijania współpracy między sobą dla wspólnego dobra.

Gdyby w roku 1918 w scalanym z trzech zaborów kraju Polacy rozpętali równie potępięncze swary co dzisiaj, to nigdy by nie doszło do jego odbudowy. Bo przecież jedni byli dawnymi współpracownikami aparatu władzy carskiej, inni pruskiej, a jeszcze inni austriackiej. „Czyści” byli tylko ci, co nic nie robili. Zamiast pozagryzać się wzajemnie, ówczesni ludzie jakoś jednak odtworzyli zjednoczony kraj, mimo niemałych i wtedy kłótni. Czy nie czas przejść znowu do działań twórczych?

Jako ostrzeżenie, przypomnijmy sobie losy dotychczasowych krańcowych ekstremizmów. Od fanatyzmów religijnych po fanatyzmy rewolucji, faszyzmu i chińskiej rewolucji kulturalnej. Choć wiodły one do zwycięstwa w walce, to później uniemożliwiały normalne funkcjonowanie społeczeństw. Następowaly po nich niekończące się procesy, wyroki śmierci, rewolucje kulturalne, lustracje, i inne akty zawziętej zemsty. Wszystkie ekstremizmy, czy to w chrześcijaństwie (krucjaty, rzezie innowierców, inkwizycja, podboje „pogan”), czy w radykalnych rewolucjach (francuska, bolszewicka, chińska), czy ortodoksyjny komunizm, wszystkie one okazywały się dość krótkotrwałymi epizodami. Ponieważ niszczyły same siebie.

W dzisiejszym czasie pluralizmu światopoglądowego, ekumenizmu, postmodernizmu i globalizacji najlepsze są sprawdzone rozwiązania umiarkowane, typu tzw. złotego środka, inaczej – rozwiązania trzeciej drogi. Wynegocjowane przez grupy obywateli spomiędzy rozwiązań skrajnych. Na przykład skandynawski model państwa opartego na kompromisowej liberalno-demokratycznej umowie społecznej pozwala na budowę społeczeństwa otwartego i społecznie solidarnego zarazem (patrz:

Wikipedia - Szwecja).

Po tylu niedobrych doświadczeniach czas już, aby także u nas zrozumiano, że samonapędzające się w zacietrizewieniu rewolucje moralne i „niemoralne”, w tym obecna rewolucja konserwatywna, zawsze w końcu „pożerały swoje dzieci”. Kończyły się żalonymi okresami rozliczeń z kolejnych „błędów i wypaczeń”. Czy nie czas się już z tego wyleczyć? Skoro nawet szczury nie wymagają więcej niż paru negatywnych doświadczeń, aby się nauczyć unikania nieprzyjemnego bodźca lub też miejsca, to może i my się tego nauczymy?

Oczywiście, to, co wyżej powiedziane, nie oznacza, że prawidłowe rozwiązanie leży zawsze dokładnie pośrodku między stanowiskami oponentów. Kiedy mamy do czynienia z decyzjami w sprawach opartych na zjawiskach fizyko-przyrodniczych, w tym społecznych i ekonomicznych, wówczas prawda nie koniecznie leży pośrodku. Bywa w posiadaniu tylko jednej ze stron, tej lepiej poinformowanej. Przykładem spór o Rospudę: mieliśmy tam zaproponowane warianty sobie przeciwstawne, przy czym jeden z nich był narzucany siłą administracyjną, a nie z pomocą argumentacji merytorycznej. To akurat alternatywny do rządowego wariant łączył niższe koszty budowy (krótszą trasę), niższe szkody ekologiczne z mniejszą uciążliwością dla większej liczby ludzi. W takich przypadkach potrzebne było nie tylko nieustępliwe trwanie przy swoich racjach, ale i dodatkowy neutralny arbitraż dla wyważonego ocenienia relatywnej wartości obu wariantów, i wyboru tego najlepszego.

Zwłaszcza w zakresie ochrony przyrody powinniśmy pryncypialnie i nieustępliwie bronić przed zniszczeniem ostatnich prawdziwie dzikich jej fragmentów, w Puszczy Białowieskiej, nad Rospudą, nad środkową Wisłą, w Tatrach itd. Bo ich kopii nie będziemy nigdy mieli. Wszak tylko 1,5% obszaru kraju mamy dziś pod ścisłą ochroną w postaci parków narodowych i rezerwatów przyrody, wyraźnie mniej niż kraje sąsiednie. Przy tym ani jednego obszaru najwyższej I kategorii międzynarodowej, zwanej rezerwatem ścisłym naukowym (lub z rosyjska „zapowiednikiem”). Z drugiej strony musimy być jednak otwarci na współpracę i kompromisy z administracją w celu umożliwienia budowania niezbędnych krajowi i Europie szybszych linii kolejowych i dróg szybkiego ruchu, choć niekoniecznie najkosztowniejszych (klasy autostrad). Polska nie może pozostawać przeszkodą w ruchu tranzytowym pomiędzy Wschodem i Zachodem, przeciwnie, powinna stać się jednoczącym kontynent ważnym łącznikiem, i to tak komunikacyjnym, jak kulturowym. Nie można blokować wszelkiego rozwoju.

Dziś istnieje w sferze publicznej ogromny niedostatek ludzi rozważnych, twardych, ale umiejących podejmować dalekowzroczne decyzje, jak też nie wojujących ze wszystkimi i o każdy drobiazg. Chcąc coś osiągnąć, trzeba niejednokrotnie umieć z czegoś pomniejszego zrezygnować, ustępując pola oponentowi, po to, by ostatecznie jednak osiągnąć dalekosiężny cel ważniejszy, niosący więcej dobra wspólnego.

W świetle powyższego niepokoją mnie bardzo radykalne akcenty ukazujące się w ruchu ekologicznym, wśród „ekowojowników” i alterglobalistów. Uważam, iż nadmierny radykalizm pewnych naszych programów i praktyk może odstręczać obywateli, powodując utratę poparcia ze strony bardzo nieufnej większości i wyeliminowanie z gry zbyt krańcowej opcji (wcześniejsze lub późniejsze). Historia radykalnej lewicy, a ostatnio radykalnej prawicy, jest tego przykładem.

Do Zielonych, „ekologów” i „ekowojowników” kieruję zatem apel o rozważenie, co w naszych programach jest realistyczne, a co ekstremizmem mogącym odstręczać większość obywateli. To pierwsze powinno być uwypuklane w programach na dziś, a to drugie pozostawiane do rozważenia w przyszłości, kiedy możemy osiągnąć dokładniejszą wiedzę o sprawie i napotkać słabszy sprzeciw opozycji.

Weźmy przykładowo całkowity i częściowy wegetarianizm. Lansowany w jego umiarkowanej formie

ten drugi rodzaj jest na pewno ruchem zasługującym na jak najszerze poparcie. Bo nie tylko jest uzasadniony etycznie, zdrowotnie i ekonomicznie, ale jeszcze okazał się jedną z dróg dla działań prowadzących do obniżenia ilości gazów cieplarnianych, a więc do hamowania zmiany klimatu (Raport FAO, „Livestock’s long shadow”, 2006). Natomiast radykalne odmiany wegetarianizmu mogą prowadzić na margines społeczeństwa (anoreksja, izolacja itp.), będąc odbierane jako budzące zdziwienie ekscesy bliskie wyczynom średniowiecznych „bractw biczowników”. W dzisiejszym społeczeństwie większość nie poprze tego rodzaju ekstremizmu. Postawy krańcowe zwykle prowadzą na manowce, samobójczo niszcząc dany ruch poprzez jego wyobcowanie i sprowadzenie do położenia ignorowanej „sekty”.

Podobnie widzę część radykalnych ruchów na rzecz praw zwierząt, w ogromnej ich części godnych poparcia z całego serca i rozumu, kiedy starają się ograniczyć rozmiar niepotrzebnego cierpienia zwierząt. Jednak w swych wydaniach krańcowych stają się one jakby quasi-sekciarskimi postawami wywołującymi zdumienie lub wystawiającymi się na śmieszność czy niezrozumienie. Stanowisko ekstremalne, starające się wykluczyć śmierć zwierząt, jest wszak krańcowo utopijne. W świecie żywym, powstałym na drodze ewolucji, śmierć zawsze była podstawowym elementem ujawniającym się w działaniu doboru naturalnego. Kres życia jednostek, sprzyjający następstwu pokoleń i napędzający proces ewolucyjny, jest nieunikniony. Co więcej, umieranie zwierząt ze starości bywa nawet bardziej bolesną agonią niż bycie w krótkim momencie zabitym przez drapieżnika czy człowieka. Przyrodniczy niejedną raz bywali świadkami wstrząsających rozmiarem cierpienia agonii starych zwierząt. Niestety, nikt istot żywych nieśmiertelnymi nie uczyni, mimo największego poświęcenia. Elementarny samokrytycyzm wobec tego rodzaju egzaltacji powinien sprowadzać nas do świata realiów. Walczmy najpierw o to, co jest możliwe do osiągnięcia dziś, a fundamentalistyczny radykalizm pozostawiając na przyszłość, jako następne „wyższe zadanie” do wykonania.

W świetle tego, co wyżej powiedziano, w ekologicznych organizacjach pozarządowych nie powinniśmy tracić z pola widzenia konieczności zachowywania umiarkowania, proporcji i rozwagi. Najpierw powinniśmy walczyć o maksymalne ograniczenie przypadków łamania prawa i zasad etycznych w relacjach między ludźmi (demokracja i solidaryzm). Nie powinno być głodnych dzieci ani gdzieś tam w świecie, ani zwłaszcza w naszym kraju, gdy inni nad-obywatele zasiadają na pozłacanych tronach i w luksusowych pojazdach. Następnie trzeba uczyć się wzajemnie oraz uczyć społeczeństwo poszanowanie i troski o godziwe warunki życia dla towarzyszących nam zwierząt, zwłaszcza tych wyższych – zdolnych do odczuwania cierpienia nie tylko fizycznego, lecz i psychicznego. A w końcu dostrzegać, jak buddyści, prawo do istnienia i prostszych organizmów, jak rośliny, grzyby i mikroorganizmy, a nawet wytworów przyrody nieożywionej. Wszystkie one powinny być w jakimś stopniu chronione, aby mogły trwać przez stulecia obok naszego gatunku (ochrona przyrody i środowiska). Rozwinięcie tego rodzaju hierarchii wartości oraz jej propagowanie mogłoby znacznie ułatwić nam porozumienie z większością wyborców. Może nawet bardziej niż „medialne” akcje grup aktywistów na rzecz rozwiązań ekstremalnych, takich jak np. depenalizacja posiadania miękkich narkotyków. Tę ostatnią kwestię też trzeba będzie kiedyś podjąć, ale pod warunkiem, że wcześniej lub równocześnie włączamy się czynnie w ograniczanie rozmiaru głównej plagi niszczącej polskie społeczeństwo – nadużywania alkoholu i tytoniu. Powinno być oczywiste, że Zieloni i „ekologowie” nie upijają się, aby nie rodzić dzieci z uszkodzonymi mózgiami ociężałością poalkoholową, jak to u Słowian zdarza się często i od kilkuset lat! To winna być jedna z pierwszych naszych kampanii społecznych.

Racjonalnie, skromnie, ale bardziej jednoznacznie Zieloni winni też okazywać postawę patriotyczną, rozumianą jako zatroskanie o przyszłość naszego kraju, stanowiącego część większej europejskiej ojczyzny, przy zachowaniu naszej tożsamości regionalnej w rozsądnych granicach, a zarazem z osłabieniem uciążliwych wad narodowych.

Takiego rozumowania i umiejętności współdziałania ponad podziałami powinna uczyć polska szkoła,

jak również wszelkie pozarządowe stowarzyszenia i ich pisma. A także służąca edukowaniu społeczeństwa, a nie niszcząca go, publiczna telewizja. Może by tak zacząć od myślącego odczytania nawołującej do współdziałania dla dobra ogółu wzniosłej „Ody do młodości”?

Prof. Ludwik Tomiałojć